

A stylized, high-contrast illustration on the left side of the cover. It features a woman's face in profile, rendered in white and pink tones against a dark background. She is wearing a headscarf with vertical stripes. Below her face, there is a detailed illustration of a vintage camera, also in pink and white. The entire scene is surrounded by various flowers, including large pink and white blossoms and smaller buds. The style is graphic and artistic, with bold lines and a limited color palette of pinks, whites, and blacks.

MAGDALENA SZPONAR

RECK LESS

„Sam jednak wiem, że w relacji z tą
dziewczyną nie ma niczego udawanego.
Przy niej jestem **najbardziej autentyczną**
wersją siebie”.



MAGDALENA SZPONAR

RECK
LESS

Copyright © for the text by Magdalena Szponar
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2025
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Alicja Chybińska
Korekta: Katarzyna Chybińska, Wiktoria Garczewska, Martyna Janc
Skład i łamanie: Michał Swędrowski
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik SA

ISBN 978-83-8418-246-8 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2025
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](https://www.instagram.com/wydawnictwoniezwykle)
X [Wyd_NieZwykle](https://twitter.com/Wyd_NieZwykle)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](https://www.youtube.com/wydawnictwoniezwykle)

Tym, którzy wśród ludzi czują się najbardziej samotnie

I tym, którzy nie wierzą, że zasługują na wszystko

Rozdział pierwszy

Misha

– Misha, podpisz mi się na cyckach!

– Misha, tutaj!

– MI-SHA!!!

Szlag by je wszystkie trafił.

Zerkam za siebie, ale mój uber już odjeżdża – w pośpiechu, jeśli mam być szczery. Krzywię się pod nosem i na moment przysmykam oczy.

– *Crisse**... – warczę cicho i zaciskam usta.

Kiedy się wkurwiam, odzywa się we mnie ta porewolucyjna dusza Kanadyjczyka z Quebecu. Nienawidzę tego. I walczę z tym przez całe życie, choć, jak widać, nieskutecznie.

* *Crisse* (z fr..) – Chrystus; francuska Kanada używa w funkcji wulgaryzmów słownictwa związanego z Kościołem. Wiąże się to z utratą autorytetu tej instytucji na początku XX wieku na skutek przemian społecznych i ekonomicznych (przyp. aut.).

Dwóch roślących ochroniarzy ledwie powstrzymuje grupkę fanek próbujących się do mnie dostać. Piszczą, krzyczą, robią z siebie idiotki, a ja oceniam odległość od podjazdu do wejścia do Rogers Place.

Nie mam szans.

Pierwszego dnia w nowej drużynie zostaną rozniesiony przez jebane psychofanki.

Jakby tego wszystkiego było mało, drzwi do areny się otwierają, a ja dostrzegam w nich trzon Nafciarzy. Jebane 3M, jak nazywają ich media.

Maddox McCrae. Maverick Holmes.

I pieprzony Mikko Heikkinen, fiński niedźwiedź, zmora wszystkich obrońców NHL. A teraz jeszcze kapitan drużyny.

Mój kapitan.

Świetnie. Przekurwarewelacyjnie.

Serio, nie zliczę, ile razy się z nim napierdalałem. I ile razy rozbijaliśmy jeden drugiego o bandy.

Cudowne czasy.

Szkoda, że nie wrócą.

Ruszam, bo ten jednostajny pisk po mojej lewej doprowadza mnie do szału. Ledwie jednak stawiam pierwszy krok – boleśnie świadomy, że ta jebana święta trójca się na mnie gapi – a pod moimi nogami ląduje jakieś dziewczę. Mrugam, zaskoczony, bo laska ewidentnie wyrwała się ochroniarzom, i to dosłownie, skoro leży teraz przede mną i zaczyna szarpać swoją flanelową koszulę. Uduje jej się rozpiąć guziki, dzięki czemu wystawia ku mnie nagie piersi.

– Podpusz misia – duka, trzymając w zębach flamaster.

Ochroniarze ryczą na tę bandę kretynek, że zaraz je wszystkie, kurwa, spacyfikują – *tak, proszę* – a one... powoli się uspokajają. Wiem natomiast, że to nie kulturalne prośby dużych panów tak na nie działają. O, nie. Kątem oka dostrzegam, że wszystkie z niezdrową fascynacją przyglądają się dziewczynie pode mną. I wszystkie trzymają w łapach telefony.

Cudownie.

Zerkam w dół i znów się krzywię. Nie żebym nie lubił, jak kłęczy przede mną laska z gołymi piersiami, ale to...

Robię duży krok i zwyczajnie nad nią przechodzę, nie mówiąc ani słowa. Idę przed siebie, poprawiając zajebiście wielką torbę na ramieniu – niosę w niej cały liczący się dla mnie dobytek, resztę zostawiłem w swoim mieszkaniu w Vancouver. Bo tam właśnie wrócę. Powtarzam sobie to zdanie od chwili, kiedy się dowiedziałem, że zostałem sprzedany do Nafciarzy. Tak, sprzedany. I nie zamierzam udawać, że nie poczułem się wtedy jak dziwka.

Jedynym, czego nie potrafiłem zostawić w Vancouver, był mój motocykl. Nie mogę się doczekać, aż zostanie mi tu dostarczony. Wszystko już dopiąłem, firma zajmująca się transportem takich maszyn czeka wyłącznie na sygnał, ale... ja nadal nie wiem, gdzie zamieszkać.

Taki szczegół.

Kieruję się w stronę wejścia, przed którym nadal stoją tamci idioci, szczerząc się, jakby oglądali przedstawienie życia (no, oprócz Heikkinena, bo u niego akurat mięśnie twarzy odpowiedzialne za uśmiech zanikły), i myślę tylko o tym, jak koncertowo zostałem wychujany.

Jeśli istnieje zwrot, którego nienawidzę najbardziej na świecie, to będzie to „oczyszczanie wizerunku”.

Gdy znajduję się przed drzwiami, przed trójkę występuje Heikkinen i wyciąga dłoń, którą mocno chwytam. I nawet się nie marszczę. Znaczy... nie aż tak bardzo jak zwykle.

– Mikko Heikkinen – przedstawia się, jakbym go, kurwa, nie znał.

Aż unoszę brew. Tylko odrobinę szyderczo.

– Królowna Śnieżka – wypalam, co brzmi raczej jak pytanie, a pochmurna mina mojego nowego kapitana podpowiada, że nie załapał żartu. Powiedziałem to dla rozładowania sytuacji, a on... A co, jeśli uznał, że to jego tak nazwałem?

– Pierwsza rada od twojego kapitana, księżniczko – warczy albo... może po prostu mówi, nie wiem, ten facet jest przerażający. – Jeśli chcesz zachowywać się jak klaun, to szukaj swojego miejsca w cyrku.

Księżniczko.

*Ciarge**, klę w myślach i zaraz trzępię się mentalnie po łbie. Kretyn.

Zanim zdołam odpowiedzieć, puszcza mnie i wymija, a potem jego muszkietierowie przechodzą obok, nie zapominając o tym, by uderzyć we mnie barkami.

Nigdy nie sądziłem, że tak szybko zatęsknię za tymi dupkami z Vancouver Canucks. Nie żeby okazali się jakimiś dobrymi kumplami, ale przynajmniej wiedziałem, czego się po nich spodziewać.

Ruszam do środka, chcąc na chwilę schować się przed światem, a tam, krocząc korytarzem w poszukiwaniu biura trenera, pozwalam sobie wrócić myślami do swoich początków z hokejem.

Kiedy zaczynałem w Quebec Remparts, nie sądziłem, że w tak młodym wieku osiągnę tak wiele. Dość szybko zostałem wyczajony przez *scoutów*, a potem posypały się propozycje kontraktów w najważniejszych zespołach NHL.

Wybrałem Vancouver Canucks.

Dlaczego?

To ich zapałka okazała się najkrótsza, tyle.

Wszystkie otrzymane propozycje oznaczały wyprowadzkę na drugą stronę kraju, więc odległość od domu nie miała tu znaczenia. I choć tęsknię za Quebeciem, nie żałuję decyzji. W wieku dwudziestu trzech lat stałem się jednym z najlepszych obrońców NHL. Tak widocznie miało być.

To, co nigdy nie miało się wydarzyć, to ten pieprzony roczny transfer. Spotkał mnie za karę – tak twierdzą ja – albo w ramach „oczyszczania wizerunku” – tak twierdzi zarząd Canucks.

* *Ciarge* (z fr.) – dosł. świeca liturgiczna (przyp. aut.).

A zarząd Canucks twierdziłby cokolwiek, byleby tylko nie przyznać, że to nie ja ponoszę winę za to wszystko.

Krzywię się – po raz setny tego dnia – aż się boję, że mi tak zostanie.

Chwilowe rozmyślanie o mojej naprawdę dobrej karierze w hokeju zmieniło się w wylewanie żalów nad obecną sytuacją. Muszę wziąć się w garść. Mleko się rozlało, nic na to nie poradzę. Teraz powinienem sprawić, by to wszystko obróciło się na moją korzyść.

Bądźmy szczerzy.

Vancouver Canucks mają w tym sezonie niewielkie szanse na Puchar Stanleya, a Nafciarze... Po porażce w ostatnim finale ich apetyt jedynie się zaostriżył, a ja naprawdę marzę, by zdobyć wszystko w tym sporcie, by trzymać w rękach puchar.

Jakoś jestem w stanie przełknąć nawet to, że mam grać w zespole, który mój poprzedni skład nie za bardzo darzył sympatią. Jeśli mam być szczerzy, nigdy mnie to nie obchodziło. Pragnę po prostu napierdalać się na lodzie, nic więcej. Kocham ten sport, to całe moje życie. Jakies wewnętrzne spory, idiotyczna niechęć bez żadnego źródła – to nie dla mnie.

I może nie zrobiłem dobrego pierwszego wrażenia na wielkiej trójce, ale wierzę, że i to da się naprawić. Może jakoś to się ułoży.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że w tej chwili chyba pocieszam samego siebie.

Spędzam nieco więcej czasu w galerii sław, a dokładniej przed koszulką z numerem dziewięćdziesiąt dziewięć. Wayne Gretzky. Legenda hokeja. Każdy z nas chciałby kiedyś osiągnąć tyle co ten człowiek. Przyglądam się zdjęciom, trofeom i różnym pamiątkom dotyczącym tego gracza i czuję, jak moje serce zaczyna się uspokajać.

Dociera do mnie, że to, co mnie czeka, to tylko kolejny etap kariery. Nic więcej. Nie przyjechałem tutaj, by zawiązywać

przyjaźnie. Nafciarze nie muszą mnie lubić. Wiem, że są profesjonalistami i że na lodzie odrzucają wszystkie niesnaski, by zmienić się w dobrze naoliwioną maszynę. Tym bardziej po ostatniej porażce i aferze z tamtym skurwysynem Carlssonem.

W końcu wzdygam głęboko i ruszam dalej, by nareszcie odnaleźć biuro opatrzone tabliczką z napisem „Lewis Tanner – trener”. Nagle zza drzwi dobiega mnie dźwięczny śmiech, coś jak pieprzone dzwoneczki. Serio. Biorę solidny wdech i pukam.

Odrobinę za mocno.

Szlag.

Słyszę stłumione i ostre „proszę”, a ono ucina ten piękny śmiech. Trochę mi żal.

Odkładam torbę pod ścianę, bo nie będę jej tachał do środka, i otwieram drzwi.

Pierwsze, co widzę tuż przed sobą – a raczej pod sobą – to burza jasnych loków. Coś małego rozbija się o mój tors, aż łapie to, żeby się nie połamało.

– Och, przepraszam! Jestem taka niezdarna, myślałam, że zdążę się odsunąć.

Cholera, to ten głos.

– Shelby... – upomina łagodnie skrzata trener, wstając właśnie zza biurka.

Poświęcam mu jednak ledwie ułamek sekundy swojej uwagi.

Zaraz potem skupiam się na dziewczynie przede mną. Odsunęła się, a ja zdążyłem poczuć tęsknotę za dotykiem jej skóry.

Mrugam.

Co jest, kurwa?

– Shelby Tanner – przedstawia się, wyciągając drobną dłoń, a ja niepewnie ją ujmuję. – Tak, ta Tanner. – Chichocze i wyrażnie się rumieni. – No wiesz, Tanner Tanner... – Zakłada kosmyk włosów za ucho i nie wie, gdzie podziać wzrok. – Córką Tannera – mamrocze jeszcze pod nosem, a z oddali dobiega mnie coś przypominającego warknięcie. Ignoruję to, bo...

...przechodzą mnie ciarki.

Kurwa, czyżbym się przeziębiał?

To z pewnością choroba, bo... nigdy nie miałem tak, bym nie potrafił odwrócić spojrzenia od czyjejś twarzy. Ale... oto jestem. Próbuje złapać wzrokiem te wciąż wymykające mi się jasnozielone oczy, w których błyszczą prawie psotne iskierki, oraz pełne, różowe usta wygięte w drżącym uśmiechu. Lekko uniesione, jasnobrązowe brwi, przez które nie wiem, czy ta mała się ze mnie nabija, czy naprawdę jest aż tak zawstydzona. Na policzkach dziewczyny wciąż da się zauważyć ten delikatny rumieniec, a kiedy skupiam się na jej nosie i piegach, ona sięga tam dłonią i pociera niepewnie skórę.

– Lecę, tato – odzywa się do trenera i mnie puszcza, a ja zdążam jedynie zamrużyć.

Tato.

Kurwa.

Rzeczywiście, matole, przecież powiedziała chwilę temu, że jest jego córką.

Szczeciocze coś jeszcze, podczas gdy jej ojciec przygląda mi się ponuro, a potem znika tak szybko, że pozostaje po niej jedynie unoszący się w powietrzu zapach cynamonu.

Kocham cynamon.

– Liczę, że nie jesteś niemową, Frazer, bo mam z tobą dość problemów od samego początku. – Takimi słowami wita mnie trener, a ja... ta, znów się chmurzę.

Zaraz potem posyłam mu coś, co, głęboko w to wierzę, przypomina uśmiech.

– Postaram się nie sprawiać żadnych problemów – mówię.

– Oby – chrypi i zerka w miejsce, w którym jeszcze chwilę temu stała tamta dziewczyna.

Jego córka.

Shelby.

Cholera.

Chcę sprawdzić, jak jej imię będzie brzmiało w moich ustach, ale... widząc minę mężczyzny, wolę się zamknąć.

Zbieram się, by wygłosić jakąś głupią przemowę o tym, że cieszę się z transferu – wcale nie – i że jest mi przykro, że Nafciarze nie zdobyli pucharu – to akurat prawda, bo grali zajeźbie – i może nawet dodać coś o tym, jakiej cudownej współpracy się spodziewam, ale... nie dostaję szansy.

Za mną znów słychać pukanie, więc odsuwam się trochę szybciej i skuteczniej niż cynamonka chwilę temu.

Cynamonka.

Ja pierdolę.

Mózgu, dlaczego mi to robisz?

– No to jesteśmy w komplecie – odzywa się trener, kiedy przez próg przechodzi jakiś facet, którego mgliście kojarzę. – Dwaj wygnańcy świata w jednym miejscu. Tylko się nie pozabijajcie, proszę – dodaje kwaśno, a ja marszczę brwi.

Łypię na kolesia, oceniając go natychmiast jako zawodnika. Jest wysoki i szczupły, ale z pewnością umięśniony i postawny. Jasnobrązowe włosy sterczą mu w każdą stronę, a on odwzajemnia się równie oceniającym spojrzeniem niebieskich oczu. Wyciąga do mnie rękę w całości pokrytą tatuażami (a wśród nich zauważam między innymi ciągnący się przez całe ramię kij hokejowy) i mówi:

– Wygnaniec numer jeden, Matt Carlsson.

Unoszę wyżej brew.

A to dopiero niespodzianka.

Zanim zdołam coś powiedzieć – *crisse, czy oni wszyscy muszą mi wiecznie wchodzić w słowo?* – gość wzdycha i kontynuuje auto-prezentację:

– Ta, jestem rodziną tego Carlssona, ale serio, łączy nas jedynie nazwisko. Linus to mój brat.

– Wyrazy współczucia – mamroczę, a Matt śmieje się pod nosem. – Misha Frazer – przedstawiam się, czym kompletnie go nie zadziwiam.

– Wiem, gwiazdeczko. – Wyszczерza się, a ja pry cham i... – Twoje wejście na Rogers Place widzieli już wszyscy. – ...zastygam, mrużąc oczy.

Gdzieś przed nami znów rozlega się przyciszony warkot. Puszczam Matta i odwracam się do trenera.

– Kurwa, Frazer, miałeś jedno zadanie... – zaczyna, a w jego telefonie rozlega się pisk tych lasek, które dorwały mnie przed areną. Sekundę później komórka Tannera rozdzwania się jakąś melodyjką, a sam trener unosi na nas spojrzenie. – Prezes zarządu. Czujesz się z siebie dumny, szczeniaku?

Zaśmiałbym się na tego szczeniaka, skoro – kiedy jeszcze grałem w Quebecu – przylgnęła do mnie ksywka dobermana, ale... nie, nie jest mi do śmiechu.

Ani, kurwa, trochę.

Trener nie odbiera, tylko odkłada komórkę na blat biurka, a potem przeciera twarz.

– Frazer, masz się zadekować w swoim mieszkaniu i nie wychylać stamtąd nosa, dopóki twój agent ci nie pozwoli, jasne? A ty, Carlsson... – waha się sekundę – ...po prostu nikomu się nie przedstawiaj, jeśli nie chcesz, żeby ktoś uszkodził ci tę piękną buźkę.

Zerkamy po sobie z Mattem i jednocześnie wzdyhamy.

– Wynocha – żegna nas miło trener, bo jego telefon znów się rozdzwania.

Wychodzimy, obaj zapewne boleśnie świadomi, że nie dowiedzieliśmy się, po co w zasadzie Tanner dzisiaj nas tutaj ściągnął.

Za drzwiami łapię swoją torbę, a Matt najwyraźniej na mnie czeka, na co akurat w tej chwili nie zamierzam narzekać. Może się okazać, że on jako jedyny w tym mieście nie chce zmienić mojej gęby w krążek do hokeja.

– Nowe początki, co? – mruczy, kiedy ruszamy w stronę wyjścia.

– Nie chciałem tego – pry cham i kręcę głową. – Było mi dobrze tam, gdzie byłem.

– Mógłbym powiedzieć to samo.

Zerkam na niego z zaciekawieniem.

– Zostaję tu rok i wracam na stare śmieci. – Wzrusza ramionami. Przytakuję.

– Przenieśli mnie tutaj na sezon dla „naprawy wizerunku”. – Unoszę wolną dłoń i macham w powietrzu palcami, na co mój nowy kumpel śmieje się cicho.

– To twój wizerunek w ogóle da się naprawić?

Posyłam mu oburzone spojrzenie i szturcham łokciem w bok, aż się chwieje, tyle że chyba bardziej ze śmiechu niż z powodu mojego uderzenia.

– Chociaż ty mnie nie wkurwiasz – warczę, a on unosi ręce w obronnym geście.

– Dość się nawkurwiasz rozmową z agentem, nie zamierzam ci dokładać.

Zatrzymuję się, przymykam oczy, a potem wbijam wzrok w sufit. Przysięgam, że za chwilę dym zacznie buchać mi z nozdrzy jak jakiemuś wściekłemu bykowi.

– Jest taki problem... – zaczynam. – Po ostatniej aferze w Vancouver wywaliłem swojego agenta na zbity pysk.

– No to przynajmniej zadekuj się na chacie i nie wychylaj, dopóki PR Nafciarzy nie naprawi szkód – śmieje się cicho Matt.

Rozchyłam powieki i spoglądam na Carlssona, a on marszczy brwi.

– Z tym też będzie problem – sapię. – Aktualnie jestem bezdomny. Chciałem wynająć jakiś pokój w hotelu... – Wzruszam ramionami. Nie zamierzam wchodzić w szczegóły, że okazałem się dorosłym, odpowiedzialnym facetem, który na złość wszechświatowi postanowił w ogóle nie szukać sobie mieszkania w Edмонтон, bo przecież zjawiłem się tu tylko na chwilę.

Nawet jeśli ta chwila ma trwać rok.

Matt spogląda na mnie i wyszczerza się głupio.

– Mam wolny pokój w łofcie, jeśli chcesz.

Unoszę brew.

– Wiesz, wykolejeńcy powinni trzymać się razem.

– Kurwa, tylko mi nie mów, że jesteś gejem – wypalam, na co on prawie zapowietrza się ze śmiechu.

– Nie, zdecydowanie nie jestem gejem – odpowiada w końcu. – To jak?

Przymykam oczy. Nie wiem, co czuję, ale wiem, że w nosie wciąż kręci mnie ten cynamonowy zapach. I może właśnie tego teraz potrzebuję – kumpla, którego uda mi się wyciągnąć wieczorem na piwo. Ewentualnie pięć.

– Dobra – burczę, jakbym był zły, a Matt kręci głową.

– Przyjemniaczek z ciebie – podsumowuje.

Nawet tego nie komentuję, tylko posyłam mu mordercze spojrzenie i ruszam przed siebie. Kiedy docieramy do wyjścia, na szczęście nie dostrzegam nigdzie tamtych fanek, więc trochę się uspokajam. Carlsson kieruje się na parking, a ja odruchowo idę za nim. On jednak wydaje się coraz bardziej zadowolony z siebie i rozbawiony, aż w końcu nie wytrzymuję i pytam go uprzejmie:

– Masz udar czy co?

Wówczas wychodzimy zza wielkiego zielonego forda z napisem „The Beast” na boku i dostrzegam... motocykl.

– Zapraszam, piękna – mówi i klepie tylne siodełko.

– Po moim, kurwa, trupie – złoścę się, ale sam fakt, że ten kretyn jeździ jednośladowcem, mile mnie zaskakuje.

W odpowiedzi słyszę najpierw śmiech, a potem adres i zapewnienie, że widzimy się na miejscu. Zamawiam ubera i cofam się w stronę wejścia do Rogers Place, a wtedy... znów słyszę te pieprzone dzwoneczki.

Zatrzymuję się jak wryty i wychylam zza rogu, by jak jakiś podrzędny stalker poobserwować tego małego cholernego skrzata.

Shelby Tanner.

Liczę, że dobrze się bawisz, wszechświecie, myślę i patrzę na dziewczynę, która kroczy ramię w ramię z rudą laską. Śmieję się

z czegoś i podchodzą do zaparkowanego na miejscu VIP czerwonego klasycznego forda mustanga shelby GT500 z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Cynamonka siada za kierownicą, a trzask drzwi odcina mnie od jej dźwięcznego śmiechu.

– *Crisse* – warczę pod nosem i opieram się plecami o chłodną ścianę.

Tutaj nie pomoże nawet mentalny cios w łeb.

Nic mi nie pomoże.

Dociera do mnie, jak wielką katastrofą okazało się – zupełnie przypadkowo – moje życie.